


MAREK  
KRAJEWSKI  
głowa  
Minotaura



Lwowskie śledztwo Eberharda Mocka



**Marek Krajewski** (ur. 1966) – najbardziej dziś znany polski autor kryminałów. Z wykształcenia filolog klasyczny. W 1999 roku debiutował *Śmiercią w Breslau*, pierwszą z serii powieści z Eberhardem Mockiem, których akcja rozgrywa się w dawnym Wrocławiu. Kolejne tomy bestsellerowego cyklu to *Koniec świata w Breslau* (2003), *Widma w mieście Breslau* (2005), *Festung Breslau* (2006) oraz *Dżuma w Breslau* (2007). Razem z Mariuszem Czubajem opublikował dwa kryminały z cyklu, którego bohaterem jest nadkomisarz Jarosław Pater, pracujący w trójmiejskiej policji: *Aleję samobójców* (2008) oraz *Róże cmentarne* (2009).

Marek Krajewski otrzymał Paszport „Polityki” za rok 2005, Nagrodę Księgarzy „Witryna” za najlepszą książkę roku 2005 oraz honorową Nagrodę Wielkiego Kalibru 2007. Jego powieści są tłumaczone na osiemnaście języków, w tym angielski, hiszpański, niemiecki, francuski, włoski, czeski, duński, grecki i hebrajski.

[www.marekkrajewski.pl](http://www.marekkrajewski.pl) – wydawnicza strona autora  
[www.marek-krajewski.pl](http://www.marek-krajewski.pl) – strona prywatna

MAREK

KRAJEWSKI

głowa

Minotaura

- Gianrico Carofiglio *Świadek mimo woli*  
*Z zamkniętymi oczami*  
**21:37**
- Mariusz Czubaj  
Martha Grimes *Hotel Paradise*  
*Stacja Cold Flat Junction*  
*Hotel Belle Rouen*  
*Pod Huncwotem*  
*Pod Przechytrzonym Lisem*
- Jean-Claude Izzo *Total Cheops*  
*Szurmo*  
*Solea*
- Tomasz Konatkowski *Przystanek Śmierć*  
*Wilcza wyspa*
- Marek Krajewski *Koniec świata w Breslau*  
*Widma w mieście Breslau*  
*Festung Breslau*  
*Dżuma w Breslau*
- Marek Krajewski, Mariusz Czubaj *Aleja samobójców*  
*Róże cmentarne*
- Jens Lapidus *Szybki cash*
- Henning Mankell *Morderca bez twarzy*  
*Psy z Rygi*  
*Biała lwica*  
*Mężczyzna, który się uśmiechał*  
*Fałszywy trop*  
*Pięta kobieta*  
*O krok*  
*Zapora*
- Aleksandra Marinina *Kolacja z zabójcą*  
*Gra na cudzym boisku*  
*Ukradziony sen*  
*Złowroga pętla*  
*Śmierć i trochę miłości*  
*Męskie gry*  
*Zabójca mimo woli*  
*Płotki giną pierwsze*
- Zygmunt Miłoszewski *Uwikłanie*
- Denise Mina *Pole krwi*  
*Martwa godzina*
- Joanna Szymczyk *Ewa i złoty kot*

MAREK

KRAJEWSKI

głowa

Minotaura

Copyright © by Marek Krajewski, 2009  
Wydanie I  
Warszawa 2009

*Mojemu śp. Wujowi, Michałowi Obłąkowi,  
który pierwszy opowiedział mi  
o Lwowie swojej młodości*



Część I  
Wejście do labiryntu



*Znam pewien labirynt [...] złożony z jedynej linii  
prostej. W tej linii zagubiło się już tylu filozofów,  
że z łatwością może się zgubić zwykły detektyw.*

Jorge Luis Borges, *Śmierć i busola*  
(przeł. Andrzej Sobol-Jurczykowski)

*Lwów, wtorek 9 maja 1939 roku,  
godzina piąta rano*

Nad Starym Rynkiem wstawał świt. Różowy blask wdzierał się między nędzne budy, w których baby zaczęły ustawiać swe kociołki z barszczem i pierogami, osiadał na bańkach z mlekiem, które żydowski handlarz targał na dwukołowym wózku z mleczarni Estery Fisch, i załamywał się na daszkach kaszkietów baciarów, którzy stali w bramach i nie mogli się zdecydować, czy pójść spać, czy czekać na otwarcie pobliskiego szynku, gdzie mogliby zaspokoić bombą piwa palące poalkoholowe pragnienie. Poblask jutrzeńki układał się na sukienkach dwóch dziewczyn, które – nie doczekawszy się w nocy żadnego klienta – w milczeniu wracały ze swoich stanowisk na Mostkach, by zniknąć w bramach przy Mikołajskiej i Smerekowej, gdzie w ubogich izbach wynajmowały łóżko z parawanem. Mężczyznom, zmierzającym w pośpiechu przez Wysoki Zamek do fabryki wódek Baczewskiego, różowe światło świeciło prosto w oczy, lecz oni je ignorowali, wbijali wzrok w brukowaną jezdnię i przyśpieszali kroku, a od ich szybkich ruchów szeleściły torebki z chlebem i cebulą, które trzy-

mali w dłoniach. Nikt z lwowskich uliczników i robotników nie podziwiał różanopalcej Eos, rzeźbiącej trójkątne dachy szpitala Sióstr Miłosierdzia, nikt się nie zastanawiał nad cyklicznością zjawisk natury, nikt nie analizował subtelných zmian światła i barwných niuansów.

Podkomisarz Franciszek Pirożek, podobnie jak jego krajanie, daleki był od homeryckich zachwyków. Jadąc ulicą Kazimierzowską nowiutkim policyjnym chevroletem, patrzył z wyteżoną uwagą na mieszkańców tej robotniczej dzielnicy. Szukał u nich jakichś oznak szczególnego niepokoju, wypatrywał grupęk ludzi żywo dyskutujących, a nawet zbitych w niebezpieczne kupy i uzbrojonych w jakieś narzędzia. Takich, którzy chcą sami zlinczować zbrodniarza. Nikogo podobnego nie widział wcześniej – ani na ulicy Kopernika, ani na Legionów. Nie widział i teraz. Stopniowo się uspokajał, a jego westchnienia ulgi stawały się coraz głośniejsze. Nie było zwiastunów jakichkolwiek rozruchów. Jakież to szczęście, pomyślał, mijając Teatr Wielki i parkując przed apteką na Żółkiewskiej 4, że tę potworność odkrył farmaceuta, rozsądny racjonalista, który nie miota się po podwórku i nie wrzeszczy, budząc wszystkich dokoła!

Pirożek wysiadł z automobilu, rozejrzył się i poczuł ścisk w gardle. Widok posterunkowego przed apteką nie uszedł uwagi okolicznych mieszkańców, którzy stali wokół i głośno, a nawet dość zuchwale i obcesowo, zastanawiali się nad poranną obecnością stróża prawa w tym miejscu. Ten zaś spozierał na nich surowo spod daszka czapki i raz na jakiś czas robił srogą minę, uderzając dłońmi w pałkę, wiszącą wzdłuż nogawki. W tej dzielnicy policjanci nie wzbudzali respektu. Bywały czasy,

że musieli chodzić środkiem ulicy, aby uniknąć wciągnięcia do bramy i pobicia. Toteż posterunkowy z komisarjatu III ucieszył się, widząc Pirożka, zasalutował mu i przepuścił do apteki. Podkomisarz wiedział, dokąd ma iść. Skierował się za ladę, na której stał przestarzały telefon, przeszedł przez ciemną sień, potknął się o skrzynkę, w której leżała zardzewiała waga apteczna, i wszedł do kuchni mieszkania na tyłach, zajmowanego przez aptekarza i jego rodzinę.

O ile aptekarz, pan Adolf Aschkenazy, zachowywał się – zgodnie z przewidywaniami Pirożka – bardzo spokojnie, o tyle jego żona nie miała w sobie nawet kropli jego zimnej krwi. Siedziała przy stole, szczupłe palce wciskała w papiloty, otaczające jej czaszkę jak czapka narciarska, i głośno zawodziła, potrząsając głową. Mąż obejmował ją ramieniem i podsuwał pod usta szklanekę z naparem waleriany, jak można było poznać po zapachu. Na ogniu podskakiwał czajnik. Para zasnuwała okna, co uniemożliwiała podglądanie jakiemuś gapiovi, którego nie przepędził posterunkowy na zewnątrz. Zaduch był dławiący. Pirożek zdjął kapelusz i otarł czoło. Pani Aschkenazy wpatrywała się w niego z takim przerażeniem, jakby ujrzała diabła, nie zaś rumianego, zażywnego i wzbudzającego ogólne zaufanie funkcjonariusza. Pirożek mruknął słowa powitania i odtworzył w pamięci rozmowę telefoniczną, jaką przeprowadził z panem Aschkenazym pół godziny temu. Aptekarz opowiedział wtedy wszystko bardzo spokojnie i szczegółowo. Pirożek nie musiał go zatem pytać teraz o to samo, i to w dodatku w obecności wystraszonej żony i przyklejonego do szyby ciekawskiego.

– Gdzie jest wyjście na podwórko? – zapytał Pirożek.

- Przez sień i do końca, panie pulicaj - nieoczekiwanie odpowiedziała pani Aschkenazy.

Pirożek, nie zastanawiając się nad nagłą aktywnością aptekarzowej, wszedł z powrotem do ciemnej sieni. Przez drzwi obok słyszał głośnie pochrapywanie. Pewnie małe dzieci, pomyślał, one zawsze mają mocny sen, którego nie przerwie nawet panosząca się wokół śmierć.

Blotniste podwórko zabudowane było z trzech stron. Od ulicy oddzielał je żelazny parkan, do którego dostępu bronili posterunkowi. Dokoła stały dwupiętrowe odrapane budynki z wewnętrznymi galeryjkami. Na szczęście większość mieszkańców spała. Jedynie na pierwszym piętrze siedziała siwa kobieta na stołeczku i nie spuszczała oczu z przodownika Józefa Dułapy, który stał nieopodal wychodka i palił papierosa. Wyszedłem za potrzebą, Pirożek odtwarzał w myślach telefoniczną relację Aschkenazego, i znalazłem w ustępie coś strasznego.

- Dzień dobry, panie komisarzu - powiedział Dułapa i zdeptał butem niedopalek.

- Co wy robicie, Dułapa! - krzyknął Pirożek, aż starszuszka podskoczyła na galeryjce. - Tu jest miejsce zbrodni! Naplujcie na peta i do kieszeni! Nie zamazujcie mi śladów, do jasnej cholery!

- Tak jest! - odpowiedział Dułapa i zaczął szukać niedopałka pod nogami.

- Gdzie to jest? - Pirożek, kiedy to powiedział, poczuł niesmak. Nie powinien mówić o martwym człowieku „to”. - No, gdzie jest ciało? - poprawił się. - Nie ruszaliście go przypadkiem? Pokazać palcem i dawać mi latarkę!

- W ustępie, niech pan komisarz uważa. Leżą tam bebechi - szepnął przodownik zaniepokojony i dodał

jeszcze ciszej, wręczając mu latarkę. – Panie komisarzu, bez urazy, ale to straszna sprawa. Jak raz dla komisarza Popielskiego.

Pirożek nie obraził się. Uważnie zlustrował wilgotną, czarną ziemię, aby nie zdeptać jakichś śladów. Potem podszedł do ustępu i otworzył drzwi. Smród odebrał mu oddech. Widok, jaki ujrzał w różowym świetle świtu, zaburzył mu jasność widzenia. Komisarz kątem oka dojrzał, jak staruszka wychyla się mocno za barierkę, chcąc zajrzeć w głąb wychodka. Zatrzasnął drzwi.

– Dułapa – powiedział, wciągając do płuc zepsute powietrze – usuńcie z galerii tę starą.

Przodownik poprawił haftkę krępującą kołnierz i ruszył z groźną miną w stronę schodów.

– No, drypcia – krzyknął do kobiety – na chawiry, ale już!

– Człowiek za potrzebą wyjść nie może! – wrzasnęła kobieta, ale posłusznie schowała się do mieszkania, przezornie zostawiając stołek na galerii.

Pirożek otworzył jeszcze raz drzwi i oświetlił bladą bryłę leżącą w ustępie. Ciało dziecka było tak przekrzywione, jakby ktoś próbował wcisnąć jego główkę pod kolano. Włosy na czaszce były rzadkie i poskręcane. Skóra policzków wzdymała się pod naporem opuchlizny. Na progu leżały jelita, których śliską powierzchnię pokrywały nieregularne strumyki krwi. Całe ciało pokryte było strupami. Podkomisarz miał uczucie, jakby jego krtań stała się czopem blokującym oddech. Oparł się o otwarte drzwi. Nigdy czegoś takiego nie widział. Chore, kostropate, połamane dziecko. Ma, na oko, nie więcej niż trzy lata. Wyprostował się, splunął i jeszcze

raz spojrzął na ciało. To nie były strupy. To były rany klute.

Pirożek zatrzasnął drzwi wychodka. Dułapa patrzył na niego z niepokojem i zaciekawieniem. Z oddali, od strony Gródeckiej, zadzwonił pierwszy tramwaj. Nad Lwowem wstawał piękny majowy dzień.

Macie rację, Dułapa – podkomisarz Pirożek powiedział to bardzo powoli. – To jest sprawa jak raz dla Popielskiego.

*Lwów, wtorek 9 maja 1939 roku,  
kwadrans na jedenastą rano*

Leokadia Tchorznicka wyszła na balkon swojego mieszkania przy Kraszewskiego 3 i przyglądała się przez chwilę fragmentowi Ogrodu Jezuickiego. Robiła to codziennie, ponieważ uwielbiała tę krzepiącą pewność, że wokół nic się nie zmienia i zajmuje należne sobie miejsce: kasztany, buki, dęby, pomnik Agenora Gołuchowskiego i statua wazy z alegoriami życia. Tego dnia nastąpiła jednak pewna zmiana w porównaniu z minionymi tygodniami. Zakwitły bowiem kasztany i pojawili się maturzyści z pobliskiego gimnazjum Jana Długosza. Z wysokości pierwszego piętra widziała kilku młodzieńców w mundurach gimnazjalnych, którzy szli w górę ulicy z papierosami w dłoniach, dzierżyli pod pachami książki ściśnięte paskiem i kłócili się zażarcie o wzajemne związki, jak dosłyszała, tangensów i sinusów. Przypomniała sobie swoją własną maturę przed czterdziestu laty, a potem szczęśliwe lata studiów

romanistycznych na Uniwersytecie Jana Kazimierza, kiedy jako jedna z czterech panien na wydziale, otoczona była nieustannie adoratorami. Łokcie wsparła na pierzynie leżącej na balustradzie, twarz wystawiła ku słońcu i chętnie przywitała w myślach swe gimnazjalne i studenckie wspomnienia. Pod balkonem z hukiem przejechała ciężarówka ze złomem. To było coś nieoczekiwanego. Leokadia nie znosiła rzeczy nieprzewidywalnych. Kiedy się zdarzały, wyrzucała sobie brak wyobraźni.

Tak było właśnie teraz. Wzdrygnęła się, szybko weszła z powrotem do mieszkania i zamknęła okno balkonowe. Ostatnie, czego by pragnęła, to przebudzenie teraz jej kuzyna Edwarda Popielskiego, z którym mieszkała od lat dwudziestu. Przez te wszystkie lata jedyne spory, jakie wybuchały między nimi, dotyczyły nieoczekiwanych pobudek kuzyna – a to przeciąg trzasnął we framugę niedomkniętym oknem, a to domokrażca donośnym głosem zachwalał na podwórku swe towary, a to służąca zbyt głośno śpiewała w kuchni godzinki. Wszystkie te zdarzenia gwałtownie burzyły sen Edwarda, który kładł się spać o piątej rano i nie zwykł wstawać z łóżka przed pierwszą po południu. Leokadia podeszła zaniepokojona do drzwi sypialni kuzyna, której okna wychodziły na podwórze, podobnie jak okna pokoju jego córki Rity i okno kuchenne. Nasłuchiwała przez chwilę, czy preraźliwy chrzęst starego żelaza sprzed minuty wywołał taki skutek, jak przypuszczała. Stało się to, czego się obawiała. Jej kuzyn już nie spał. Stał przy drzwiach wejściowych i trzymał w dłoni słuchawkę telefonu. Niepotrzebnie odkładałam słuchawkę na widełki, wyrzucała sobie w myślach, ale co miałam zrobić, kiedy od szóstej



rano wydzwaniano do Edwarda z komendy? W końcu obudziłby się i miałabym z nim krzyż pański.

Teraz Edward stał w przedpokoju i milczał, wpatrując się w słuchawkę, jakby tam widział żywego człowieka. Nagle przemówił podniesionym głosem. Weszła szybko do kuchni i zamknęła za sobą drzwi, aby nie podsłuchiwać. Jej dyskretne zachowanie nic jednak nie dało. Edward krzyczał na cały przedpokój i słyszała każde jego słowo.

– Nie rozumie pan po polsku, panie naczelniku?! – Wiedziała już, że rozmawia ze swoim szefem, naczelnikiem urzędu śledczego. – Nie wyraziłem się jasno?! Odmawiam przystąpienia do tego śledztwa i odmawiam podania powodów mojej decyzji! To wszystko, co miałem panu naczelnikowi do zakomunikowania!

Usłyszała łoskot rzuconej słuchawki, trzask desek w salonie pod jego stopami, a potem charakterystyczny odgłos kręcącej się tarczy telefonicznej. Dokąś dzwoni, pomyślała, może chce przeprosić tego Zubika? Teraz mówił znacznie ciszej. Westchnęła z ulgą. Nie lubiła, kiedy się kłócił z przełożonymi. Nigdy jej nie chciał zdradzić powodu kłótni, a ten tkwił w nim jak drzazga i sprawiał, że puchł i czerwieniał od niewyładowanego gniewu, a wszystko to mogło się znów skończyć atakiem. Żeby choć raz się przemógł, pomyślała, i powierzył jej sekret swoich stosunków z tym gburowatym naczelnikiem! Pomogłoby! Dlaczego nie chce porozmawiać na temat tych konfliktów, podczas gdy nie ma przed nią żadnych tajemnic dotyczących nawet najtajniejszych śledztw? Wie, że milczałaby jak kamień!

Ze spizarki wyjęła pierniki juraszki, które rano kupiła u Zalewskiego, a potem włożyła do dzbanka świeżo utłuczone ziarna kawy i zalała je wrzątkiem. Skrzyżnęła deska w podłodze i zaszeleściły kotary. Skończył rozmawiać, wszedł do salonu, przesłonił światło słoneczne kotarami i pewnie siedzi teraz pod zegarem z papierosem i gazetą, pomyślała, stawiając naczynia na tacy.

Prawie wszystkie jej przypuszczenia się sprawdziły – z wyjątkiem gazety, która wciąż spoczywała na stoliku w przedpokoju. W salonie grube zielone kotary były zaciągnięte, a wśród sufitowej sztukaterii palił się żyrandol. Edward Popielski siedział w fotelu pod stojącym zegarem i strzepywał popiół z papierosa do popielniczki w kształcie muszli. Był ubrany w spodnie z grubego sukna, skórzane, lśniące od pasty, domowe pantofle oraz wiśniową bonzurkę z czarnymi, aksamitnymi wyłogami. Na jego łysej głowie widać było ślady mydła do golenia i jedno małe zacięcie. Pociągnięte czernidłem, krótko przycięte wąsy i broda otaczały jego usta.

– Dzień dobry, Edwardzie. – Leokadia uśmiechnęła się i postawiła tacę na stole. – Musiałam być na balkonie, kiedy wstałeś i goliłeś się w łazience. A wtedy zatelefonował Zubik, ty drgnąłeś na dźwięk dzwonka i zraniłeś się w głowę. Tak było?

– Powinnaś pracować razem ze mną w policji – tymi słowami zawsze podsumowywał dedukcje kuzynki. Tak też zrobił i teraz, ale jego słowom nie towarzyszył zwykły w tej sytuacji uśmiech. – Nie ma dzisiaj Hanny?

Leokadia usiadła przy stole i naleła kawy do filiżanek. Czekwała, aż usiądzie i odprawi zwykły rytuał śniadaniowy – „*primum makagigi, deinde serdelki*”, co oznacza

ło, że zawsze najpierw zjadał ciastka z kawą, a potem parówki z chrzanem i bułeczkami z masłem, popijając to herbatą. Lecz on nie usiadł przy stole; wciąż palił papierosa, którego niedopałek wsadził do bursztynowej cygarniczki.

- Nie musisz tak palić na czczo, zgaś to i siadaj do śniadania. - A zresztą dzisiaj jest wtorek.

- Nie rozumiem - cygarniczka stuknęła o brzeg muszli - związku między jednym a drugim.

Po powolnym tempie jego wypowiedzi poznała, że jest w bardzo złym humorze.

- Bo nie ma związku - rzekła. - Dzisiaj jest wtorek i Hanna ma wolne. Odpowiedziałam po prostu na twoje pytanie.

Edward odstawił popielniczkę na stolik pod zegarem. Obszedł stół dokoła i nagle zatrzymał się za jej plecami. Chwycił ją za skronie i pocałował w głowę, burząc nieco jej staranną fryzurę.

- Przepraszam za mój podły nastrój - powiedział i usiadł za stołem. - Źle się zaczął ten dzień. Telefonował Zubik i...

- Odmówiłeś poprowadzenia śledztwa w sprawie tego chłopca, o którym pospółstwo powiada, że został rytualnie zamordowany przez Żydów? - zapytała, nie licząc wcale na odpowiedź.

- Skąd wiesz? - odparł i przełknął kęs piernika.

- Słyszałam. A nawet gdybym nie słyszała, to mogłabym się tego domyślić... Zawsze przed śniadaniem siadasz pod zegarem, palisz i czytasz gazetę. Dzisiaj tego nie uczyniłeś. „Słowo” i jego dodatek nadzwyczajny leżą nietknięte. Albo byłeś tak wzburzony, że nie miałeś

ochoty na lekturę, albo wiedziałeś, co będzie na pierwszej stronie. Założyłam to drugie.

- To prawda - odpowiedział ponuro i nie pochwalił, jak zwykle, jej prawidłowego rozumowania.

- Dlaczego odmówiłeś Zubikowi? Wiesz, że może cię za to spotkać dymisja? A nade wszystko, chcesz, by zbrodniarz uszedł bezkarnie?

Taki zarzut w normalnych okolicznościach wywołałby u Edwarda wybuch złości. Jak śmiesz mnie o to posądzać?!, krzyknąłby. Teraz jednak milczał, a jego szczeka poruszała się rytmicznie, gdy jadł.

- O to samo zapytał mnie Zubik - powiedział niespiesznie, kiedy przelknął - i wtedy podniosłem na niego głos.

- Ale ja nie jestem Zubikiem! - Szczupła postać Leokadii poruszyła się gwałtownie. - I mnie możesz wszystko powiedzieć...

- Nie jesteś Zubikiem - przerwał jej - i dlatego nie podniosę na ciebie głosu.

Wiedziała, że jak zwykle niczego się od niego nie dowie. Dopiła kawę i wstała, aby pójść do kuchni i zagrzać mu serdelki. Edward nagle podniósł się, chwycił ją za przegub i posadził na krześle.

Opowiedziałbym ci wszystko, Lodziu, ale to okropnie długa historia. - Wsadził nowego papierosa do cygarniczki.

Z radością pomyślała, że to oznacza koniec jego wahania i zaraz wszystkiego się dowie.

- Opowiedziałbym ci wszystko, ale nie wiem, od czego zacząć... To ma związek ze sprawą Minotaura.

– A zatem zacznij *ab ovo*. – Leokadia była cała napięta z ciekawości. – Najlepiej od tego śląskiego miasta i kwadratowego Ślązaka, którego nazywasz swoim przyjacielem, a którego ja nigdy do końca nie polubiłam...

– Tak... – powiedział w zamyśleniu. – Od tego wszystko się zaczęło.

*Breslau, piątek 1 stycznia 1937 roku,  
godzina czwarta rano*

Noworoczne fajerwerki wybuchały nad Teatrem Miejskim, kiedy trzęsąca się dorożka zajeżdżała pod okazałą kamienicę, oznaczoną jako Zwingerplatz numer 1, w której mieszkał kapitan abwery Eberhard Mock ze swoją żoną Karen, owczarkiem niemieckim Argosem i parą starych służących, Adalbertem i Marthą Goczoll. Dorożka trzęsa się z dwóch powodów. Po pierwsze, smagana była porywistym wiatrem, który ostro siekł śniegiem, po drugie, w Mocka po szampańskiej zabawie w Śląskim Muzeum Sztuk Pięknych wstąpiła jakaś niespożyta męska moc, której upust starał się dać już po drodze, nie czekając, aż znajdzie się z żoną w sypialni. Nie przejmując się zbyt mrozem, słabymi protestami Karen oraz gadatliwością fiakra, usiłował przebić się przez kilka warstw bielizny spowijających ciało żony. Skutek jego usiłowań był jednak mizerny, bo ograniczył się jedynie do zmiany zachowania fiakra, który przyzwyczajony do takich figli w swojej budzie, dyskretnie zamilkł.

– Przyjechaliśmy, Ebi, uspokój się. – Karen delikatnie odepchnęła zasapanego męża.

- Dobrze - mruknął zadowolony Mock, wyciągając ku fiakrowi banknot dziesięciomarkowy. - A tu masz za to, że przyjechałeś po nas punktualnie. - Dołożył jeszcze dwie marki.

Kiedy wysiedli z dorożki, dostali się w zimne wiry wiatru, który zerwał się gdzieś spod Resursy Kupieckiej i dmuchnął suchym śniegiem z chodnika. Siła wichru była tak duża, że zerwała cylinder z głowy Mocka i biały jedwabny szal z jego szyi. Obie części garderoby zawirowały na wietrze, a potem się rozdzieliły - cylinder skakał na torach tramwajowych, kierując się w stronę hotelu „Monopol”, a szal przykleił się do witryny kawiarni Fahriga. Na wpół oślepiiony, Mock postanowił najpierw ratować szalik, który był prezentem wigilijnym od Karen. Rzucił się w stronę wystawy, dając znak żonie, aby schowała się przed zadymką. Po sekundzie przyciskał już szalik do szyby i rozglądał się za cylindrem. Karen stała w bramie.

- Idź do sypialni i czekaj tam na mnie! - krzyknął, zawiązując szalik na węzeł.

Karen nie zareagowała. Mock, zasłaniając oczy, ruszył ku rozświetlonemu hotelowi, z którego wnętrza buchała para i majestatyczny rytm walca wiedeńskiego. Wypatrywał cylindra, ale nigdzie go nie widział. Wyobraził sobie, że toczy się gdzieś po bruku, umazany końskimi odchodami. Ten obraz mocno go zirytował. Stał i rozglądał się dokoła. Jego wzrok zatrzymał się na Karen, stojącej wciąż w bramie. Czemu ona nie idzie do domu, do diabła?! Czyżby stróż się upił i zasnął?! No, to ja go zaraz obudzę! Patrząc na jej bezradną, skuloną postać, poczuł niechęć do alkowianych figli. Otworzył usta i połknął kilka płatków śniegu. Język, wysuszony